



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowieza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

KOBIETA ANGIELSKA.

JEJ CELE I DAŻENIA.

I.

Z chwilą gdy sprawa niewieścia stała się kwestią społeczną, szerokiego zakresu, nieobojętne jest dla nikogo, zbadanie źródeł, u których ona powstała. Ważny w rozwoju swym, bo dotykający przedewszystkiem rodziny, tej najgłówniejszej z podstaw naszego bytu, ruch emancypacyjny potrafił stać się jednym ze znamienych hasel wieku; ogarnął zaś tak rozległe koła, iż adeptki jego na miliony się liczą. W obecnym, w obec zastępów, którym legion na imię. rozumiano, iż nie należy lekceważyć żądań polowy narodu. Postanowiono zatem przyjąć z pomocą tym, którzy przemawiają w imię wszechludzkiej potrzeby chleba i pracy. Pierwsza Anglia pojęła, że cała olbrzymia armia kobiet, zajęta w przemyśle jej, armia zazwyczaj wyżytkiwana, źle płatna, źle traktowana, głodna, nieoświecona, może i musi stać się pastwą prądów socjalistycznych. Aby więc nie podniecać agitacji, niebezpiecznych dla spokoju państwa, spróbowano: z jednej strony, zapewnić ulgi w losie proletaryatu niewieściego, z drugiej, zużyć kobiety dobrej woli, z wyższych sfer społecznych, w celu wywierania dodatniego wpływu, na uboższe i mniej szczęśliwie uposażone siostry. Chcąc jednak, by zrozumiały ważne to posłannictwo, trzeba było wpierym wykształcić je stosownie i związać w karne a celowi swemu odpowiadające szeregi.

Takim, jak sądzimy, był cel pierwszych swobód: naukowych, społecznych i politycznych, nadanych kobiecie angielskiej, dzięki inicjatywie sędziwego, a świeżo zmarłego męża stanu, Gladstone'a. Taką myśl jego, gdy na czele politycznych stowarzyszeń niewieścich postawił swoją żonę, lub gdy kwestyę wyższego wykształcenia kobiet, oraz zupełnego naukowego ich równouprawnienia, związał z nazwiskiem własnej córki, Heleny Gladstone.

Anglii też przypada zaszczyt przewodnictwa w ruchu emancypacyjnym Europy, tak jak ona pierwsza dała do niego inicjatywę. Sto lat ubiegło od śmierci Maryi Wollstoncraft*), która pismami swymi poruszyła po raz pierwszy kwestyę równouprawnienia i wyprowadziła ją przed sąd Europy. Wśląd za nią, podjął myśl tę samą później, w 1867 r. uczony wszechświatowej sławy, John Stuart-Mill. Wniesiona na forum publiczne, rozwija się ona odtąd, śmiało i jawnie, przez pół wieku; w olbrzymim tym zaś przeciągu czasu, kobieta angielska nie traci nic ze swej aureoli: dobrej żony, wzorowej matki i szlachetnej a gotowej do poświęceń obywatelki kraju. Przeciwnie; tradycya przymiotów tych wzmacnia się, a rodzinne cnoty angielskie znajdują ogólne poszanowanie. Daleka od rozczochranego krzykactwa, od fałszywych pretensji lub właściwej Francuzkom lekkomyślności, Angielka bywa zawsze synonimem: spokoju, uczciwości, poezyi i sumiennego spełniania przyjętych na siebie obowiązków.

Ta szczęśliwa miara, oparta na równowadze moralnej, która pozwala kobiecie angielskiej

stać na czele ruchu społecznego i naukowego, a współcześnie daje jej zachować cały urok niewieści, to umiejętne połączenie dążeń do równouprawnienia, z zadaniami przez posłannictwo jej wskazanymi, skłaniają nas do przypatrzenia się bliżej sprawie emancypacyjnej w Anglii. Oparta na innych cechach plemiennych i odrębnym ustroju państwowym, musi nam, rzecz prosta pozostać obcą. Niemniej, wśród obfitego jej plonu, znajduje się napewno niejedno ziarno, któreby i na naszą rodzimą glebę rzucić warto. Sama organizacya stowarzyszeń, niósących pomoc: ubogim, chorym, pozbawionym pracy, bezdomnym i opuszczonym, mogłaby już dostarczyć niejednej ważnej a wypróbowanej wskazówki. Pracownice nasze, idące najczęściej samopas, a walczące o kęs chleba, o stanowisko lub dach nad głową, bez żadnej pomocy i poparcia, znalazłyby przecież, w takich związkach, jawnych, przez władze krajowe zatwierdzonych, ważną pomoc i dźwignię.

L'union fait la force; wszak to dewiza potężnych państw nawet.

Wróćmy jednak do Anglii i ruchu jej, zobrażowanego przez główne przodowniczki w kwestyi niewieściej.

Oto leży przed nami sprawozdanie, przygotowane na ostatni kongres międzynarodowy, przez mrs. Millicent Garrett Fawcett, z Londynu.

Znana ta promotorka równouprawnienia kobiet, dając wyczerpującą rozprawę o rozwoju historycznym ruchu niewieściego, tłumaczy, dlaczego Anglia była tak podatnym do niego gruntem. Prawo salickie, zapewniające linii żeńskiej następstwo tronu wciągnęło—według pani Garrett-Fawcett—rodaczki jej w koło działalności publicznej, zapewniając im, od czasu królowej Elżbiety, znaczny wpływ na bieg rządów oraz czynny współdziałanie w sprawach państwowych. Wykazane w tym kierunku zdolności, wzrastając, dzięki ćwiczeniom ich, z pokole-

*) Marya Wollstoncraft, autorka słynnej rozprawy: „A Vindication of the rights of Women,” zmarła w 1792 r. Bardzo ciekawa sylwetka jej drukowała w roku bieżącym, paryska „Revue des revues.” Wspomnienie to powtórzyła znaczna liczba pism europejskich.

nia w pokolenie, uczyniły każdą Angielkę pierwszą doradczynią w sprawach politycznych, doradczynią, kierującą często mężem, ojcem lub bratem. Zwróciło to wreszcie uwagę sfer rządzących. Do uwydatnienia talentu i zasług niewieścich w życiu publicznym, przyczyniła się jeszcze potężna w ziemiach Wielkiej Brytanii sekta Kwaków, która, od pierwszego założenia, nadała wyznawczyńom swym zupełnie równe przywileje z mężczyzną.

Kwakrowie przyznali kobiecie: prawo głosu na zebraniach, prawo przemawiania i nauczania w kościele, prawo spełniania obowiązków duchownych. Same Stany Zjednoczone liczą obecnie 1,235 kaznodziejek kwakerskich, a wymowa religijna, często natchniona, gorącą wiarą i poświęceniem nacechowana, uważaną tam bywa za zdolność wybitnie niewieściami. Słynna filantropka kwakerska, mrs. Fry, dała pierwszą początek (1845 r.) do reformy ustaw więziennych, do ulżenia losu setkom tysięcy ludzi, których kara, bez nadmiernych udęczeń i tak bywa dość srogą. Idee humanitarne, żądające ulgi w losie skazańców, rozszerzyły się później i ogarnęły Europę całą.

Ten sam wpływ skłonił następnie, słynną reformatorkę szpitali i głośną filantropkę, Florencję Nightingale, do zmniejszenia okrucieństw wojny, przez zorganizowanie opieki i pomocy dla rannych na polu bitwy. Jej szpital wojskowy, założony w Scutari, podczas wojny krymskiej, wprowadził przewrót istny w dziejach ofiar, rzucanych na pastwę militarysty.

Pani Garrett-Fawcett nalega też silnie, iż ruch niewieści w Anglii, nie był nigdy buntem przeciwko obowiązkowi kobiety, lecz tylko dążeniem do szerszego pojęcia i lepszego, gruntowniejszego spełnienia tych zadań świętych. Za przykład może tu posłużyć fakt, iż jako pierwszą swą powinność uważały zawsze Angielki, pieczę nad dziećmi, starcami i chorymi, nad nędzą i niedolą. W celu też lepszego wywiązania się z tego, pełnego zaparcia się siebie, posłannictwa, żądały i otrzymały prawo głosowania przy wyborach do rad: szkolnych, opiekuńczych i dobroczynnych, oraz przywilej zasiadania i czynnego udziału w tych radach.

Stosunki filantropijne uległy odtąd w Anglii istnemu przewrotowi. Z rad opiekuńczych usunięty został, paraliżujący działalność ich biurokratyzm, wzamian zaś, zaprowadzono doniosłe reformy: w pielęgnowaniu chorych, w urządzeniu domów zarobkowych, szpitali, oraz w wychowaniu sierot i dzieci nędzarzy

Współdziałanie kobiet w radach szkolnych, przyniosło najważniejszą zmianę: Oto kwestya wychowania dziewcząt, równoważoną została z nauczaniem chłopców, i bywa odtąd traktowaną wyczerpująco a gruntownie.

Ten wpływ dodatni, wywierany na wszelkich, dostępnych dla Angielki, polach działalności publicznej, ta cicha, wytrwała a pracowita zapobiegliwość, była najlepszym kluczem, najskuteczniejszą bronią do pozyskania swobód dalszych. Dziś więc córki Albionu biorą czynny udział, w następujących instytucjach miejscowego samorządu:

- 1) W radach szkolnych.
- 2) W radach opiekuńczych
- 3) W radach filantropijnych i parafialnych.

W zarządach tych są zarówno wyborcami, jak wybieralniami. Prawo głosu zaś, bez zasiadania jednak na ławie rajców, służy im jeszcze:

- 1) W zarządach municypalnych.
- 2) W radach hrabstwa.

Same instytucje opiekuńcze zatrudniają obecnie w Anglii i Walii przeszło 1,000 kobiet.

Prawo więc głosowania przy wyborach do parlamentu, jest ostatnim przywilejem konstytucyjnym, niedostępnym jeszcze dla Angielek. Prawdopodobnie jednak niedługo będą na nie czekać, kobiety bowiem, jako czynnik anti-rewolucyjny, często na wskroś konserwatywny, są w rządach parlamentarnych nader ważnym dla państwa nabytkiem.

„Siła ich leży w spokoju,“ ztąd więc łączą się zawsze ze sprawą porządku, głosują za wszystkim co zabezpiecza trwałość ogniska rodzinne-

go, są zawołaniami przeciwniczkami wszelkiego przewrotu. Kształcenie charakteru, ta dźwignia i podstawa rozwoju moralnego, ten warunek godności człowieczej, staje się głównym ich celem i zadaniem.

Niszczycielski, obalający wszystko popęd mężczyzny—mówi pani Garrett-Fawcett, —powołuje prawie zawsze do życia ściśle zachowawcze instynkta kobiety. Przyznanie więc jej współdziału w rządach, ustrzeże na długo Anglię od wszelkich rewolucyjnych wstrząśnień, bo nie pozwoli, by z dawnych jej praw i potęgi cokolwiek uronionem zostało.

Zrozumiała to silna partya konserwatywna w Anglii, pojęła, jak potężną dźwignię ma do rozporządzenia. Idąc więc za radą wodza swego Beniamina Disraeli, hr. Beaconsfieldu, założyła wkrótce po jego śmierci, w 1883 r., potężne stowarzyszenie niewieście, któremu na cześć Disraeliego nadała miano *Ligi Pierwiosnków**). Członkowie jej przysięgają bronić do ostatniego technienia: religii, konstytucji i tronu. O doniosłości i potędze związku tego, nawskroś niewieściego, niech świadczy fakt, że liczy on dzisiaj 1,000,000, wyraźnie milion członkiń, stowarzyszenia pomocnicze we wszystkich miastach i miasteczkach Anglii, oraz że obecny wódz stronnictwa zachowawczego, a zarazem prezes ministrów margrabia Salisbury, na dorocznym zebraniu „Ligi Pierwiosnków,“ wygłasza najważniejsze, programowe swe mowy.

„Damy z Ligi Pierwiosnków“ są czynną siłą w ręku rządu brytańskiego. Zużywa on je bowiem, wraz z całą ich ścisłą, karną, wzorową organizacją, w celu propagowania swych dążeń, w celu przeprowadzania przy wyborach własnych kandydatów. Wpływ ligi jest wszechpotężny, do zadań bowiem związku należy szerzenie dobrobytu i oświaty wśród klas ubogich, staranie o interesy ich, rozrywki i zabawy, co, połączone razem, czyni taką damę z „Ligi Pierwiosnków“ przyjaciółką, a w ważnych chwilach doradczynią ludu, oraz łącznikiem między nim i wyższymi sferami. Nienawisć klasowa pierzcha zazwyczaj tam, gdzie się ukaże pierwiosnek, jak to stwierdzali niejednokrotnie przodownicy partji zachowawczej: lord Salisbury i A. J. Balfour, przypisujący podkopanie knoń socjalistycznych w Anglii, wytrwałemu a umiejętnemu działaniu pań z „Ligi Pierwiosnków.“

Organizacja ich musiała się naprawdę okazać bronią ważną i doniosłą, skoro przeciwnicy polityczni pośpieszyli z naśladowaniem związku.

Stronnictwo liberalne zakłada w 1886 r. pod prezydencją pani Gladstone tak zwane *Liberal Women's Association*; „liberal-unioniści“ czynią to samo na swą rękę w 1888 r. Oba zaś związki domagają się przywilejów wyborczych dla kobiety. Izba Gmin obraduje nad niemi w 1892 r., żądając prawa głosu dla tych przynajmniej obywaterek Wielkiej Brytanii, którym powierzono już przeróżne godności w instytucjach samorządu. Bill nie przeszedł dotąd, przemawia jednak za nim: 1) dodatni wpływ kobiety, wykazany w ciągu 25-letniej działalności w instytucjach publicznych, na wyborach polegających. 2) Szeroki ich udział, pozyskany w polityce i wewnętrznych rządach kraju. 3) Prawa wyborcze, przyznane im oddawna, a ku pożytkowi ogółu w zaeuropejskich koloniach Anglii.

Ostateczna więc reforma jest już tylko kwestyą czasu.

A teraz, aby uzupełnić specjalne, polityce tylko poświęcone wywody pani Garrett-Fawcett, spróbujmy zobaczyć, jakie są cele i dążenia kobiety angielskiej na innych polach działalności społecznej, moralnej i umysłowej. Da nam to poniekąd duchową jej sylwetkę.

Anatol Krzyżanowski.

PRELUDYUM.

Gładny ranek. Rąbek słońca
Z za różowych strzela chmur,
Tarcza jego gorejąca
Promieniami swemi trąca
I wyłaca mroczny bór.

Szemerzą zdroje, szumią drzewa;
Przez oparów mętną cieśń
Spada blasków, barw ulewa,
W głębi lasu ptaszę śpiewa
Tryumfalną wiosny pieśń.

Płyną światła, biegną śpiewy
Przez pogodny, szczęśny świat.
Mchy szeleszczą, szepcą krzewy,
Słychać srebrne rzek odzewy,
Cichuteńko wdycha kwiat.

W upojenia wszechharmonii
Las w poważny rozbrzmiał wtór,
W bezgranicznej szczęścia toni,
Wszystko lśni się, perli, dzwoni
W czarodziejski elfów chór.

Do okoła wiosna nieci
Swój różany wdzięk i czar.
W każdym pyłku szczęście świeci,
Z kwiatów woń rozwiewna leci,
Z nieba słodki słońca żar.

Pieśń przyrody rzewnym dźwiękiem
W mego serca wpada ton,
Pieści je swem technieniem miękkiem
I upaja mnie swym wdziękiem,
Jak przeczysta nardu woń.

Piers mi dziwne rwie wzruszenie,
Niby rozkosz, niby żal!.....
Chciałbym lecieć gdzieś w bezdenie;
Lecieć, płynąć nieskończenie,
W nieprzejrzany lazur, w dal!

Józef Wisniewski.

Jasło.

ZAPOMNIANY ŚPIEWAK MIŁOŚCI

przez

Antonia Pileckiego.

(Dalszy ciąg).

Po „Wspomnieniach“ idą dwa pokrewne formą i treścią prawdziwe cacka poezji lirycznej: „Moje słońce“ i „Moja gwiazda.“ Poeta odtwarza w nich ten stan psychiczny w miłości, który skupia wszystkie potęgi duszy człowieczej w przedmiocie ukochanym, równie w poranku dni młodzieńczych, jak i „pod wieczór nadziei,“ który każe widzieć drogą istotę, „jak jutrznię w obłoku,“ lub jak „niebo—we zmroku“ i wyrwa z piersi kochanką okrzyk:

„I gwiazda mi moja zabłysła na niebie
„A niebo mi było w twem oku.“

Gdy to słońce lub ta gwiazda zagaśnie, naówczas mrok czarny zapada naokół, ciemnieją lilie, bledną róże, świat cały widzimy za chmurą, a gdy jutrznia zejdzie, słońce wschodzi nie nasze.

*) Ulubiony kwiat, służący za dewizę lorda Beaconsfield.

I w tych utworach psychologia miłości nie zrywa z prawdą życiową, z głęboką treścią ducha ludzkiego, a podniosła treść przegląda się w przezroczyściej i misternej formie.

Mówiłem na początku, że w erotykach Berwińskiego zawiera się dużo pierwiastków poetycznych z romantyzmu francuzkiego, a w szczególności namiętne uwielbienie ukochanej kobiety, które wyrugowało lubieżną galanterię, która spoglądała na kobietę z napyły szyderczym, lekceważącym uśmiechem, a pożądliwie, jako na przedmiot rozkoszy, która pod płaszczem pseudosielankowych uczuć ukrywała wrażenia natury zmysłowej. I w naszej poezji przedromantycznej poeta-kochanek zbliżał się do kobiety z uczuciem udanego sentymentalizmu, bez czci i szczerego ukochania jej duszy, ukrywając pod szatą salonowca lub płaszczem sielankowego pastersza ostre pazurki zmysłowości, a niekiedy nawet wprost bez udania, z cynicznym uśmiechem satyra. Ale gdy na niebie poezji nowe zaślęły ideały, gdy z wyżyn ducha zstąpił wielki romantyzm, i u nas, równie jak we Francji, szczerze, gorące ukochanie kobiety oczyściło męty życia, płynące z krwi swawolnej i z serc zepsutych. A dodać należy, że nasza poezja romantyczna w ukochanie kobiety włożyła więcej czci głębokiej, więcej duchowego ubóstwienia istoty niewieściej. Gdy romantyzm francuzki stworzył miłość szczerą, potężną, nieskrępowaną fałszem, udaniem, rozplomił ją, nasz otoczył ją aureolą ubóstwienia, dał jej opiekę duchową siły męskiej, nakazał zaś usuwać z jej drogi ciernie bólu i goryczy.

Berwiński, idąc śladem swych wielkich poprzedników, również ze czcią ugiął kolana przed kobietą i rzuca jej kwiaty pod nogi. W wierszu pod tytułem „Przeestroga,“ nie chce chmurnym wzrokiem cierpień spojrzeć w jasne oko kobiety, nie chce jej duszy pogrążyć w mroki własnych bólów, lecz mówi do niej:

„Pozwól, niech w niemej rozpaczy
Kolano ciebie uczci—a mnie wytłomaczy!“

W tej czci, z którą poeta schyla czoło przed niewiastą, drga duma mężka, ta duma, która, czcząc w kobiecie pierwiastek piękna i dobra, zamyka przed nią serce pełne gromów, burzy, cierpień i goryczy, tłumi łyzy nie męzkie; nie chce jej okazać słabości ducha i nie chce posępną chmurą smutków na jasnym jej niebie zawisnąć. Poeta pragnie powiedzieć kobiecie: Ja sam cierpieć będę, nie chcę, abyś ty ze mną boleść dzieliła, ja z męzkich ramion swych nie zrzucę ciężaru niedoli na słabe twe ramiona. Boi się spojrzeć w jej oczy jasne, pogodne, i woła:

„O nie śmieć się! i raczej proś stróża anioła,
„Abym nigdy nie podniósł schylonego czoła;
„I nigdy z pod ciemnego mych myśli obłoku,
„Oka mojego w twojem nie utopił oku.“

Z różnostronnej liry miłosnej Berwińskiego różne rozbrzmiewają uczucia. W „Jawnogrzesznicy“ poeta kłęka z zachwytem i uwielbieniem przed pięknoscią kobiety i mówi jej:

„Pięknaś jak anioł! zdumiony świat woła—
„Piękniejszaś, wołam, nawet od anioła—
„Nie anioł wdzięków — lecz sam Bóg miłości
„W tobie, o piękna, między nami gości!“

A dalej delikatnym, wytwornym, artystycznym pędziem malarza uszlachetnia poeta wdzięki kobiecie i kładzie na nich piętno zachwytyłów miłosnych:

„Oko twe—miłość w twem oku się żarzy—
„Miłość na czole zadumanem marzy—
„Miłość ust twoich bawi się uśmiechem,
„Miłość muzyką gra w twojej rozmowie,
„Miłość w milczeniu—miłość w każdym słowie—
„A ty powiadasz, że miłość jest grzechem?“

Tak! z uroczej postaci kobiecej, z namiętnych uniesień miłości, jakie ona stwarza, poeta maże piętno grzechów:

„Ach! bo ty grzeszysz każdym twojem tchnieniem,
„I każdym słowem i każdym spojrzeniem—
„Grzeszysz urokiem ócz twych tajemniczym,
„I włosem kruczym i śnieżnym obliczem—
„Grzeszysz łąką smutku, grzeszysz ust uśmiechem,
„Jeśli to prawda, że miłość jest grzechem!“

Ten podniosły kult piękna niewieściego nie zniża się ani na chwilę do uczuć trywialnych, drga w nim uwielbienie szczerze, a czysto ludzkie. Kobieta zstępuje tu z wyżyn idealnego ukochania i swem pięknem duchowo-cieleśnym czar dokoła roztacza. Realizm, uszlachetniony dotknięciem ryłca artystycznego, wyrzeźbia nam pesag pięknej Galatei, którą tchnienie miłości rozbudziło do życia, do uniesień, do rozkoszy. Zespolenie piękna z miłością nadaje tej postaci urok niewysłowiony.

Również pod wpływem uwielbienia wdzięków niewieściech wyśpiewał nam poeta utwór swój pod tytułem: „O córo Ewy!“ ale tu amor przybiera już figlarną postać i budzi silniej grę zmysłów, niż zachwyty ducha, chociaż tu wdzięk i artyzm, z którym poeta maluje nam urodę niewieścią, gładzi rysy trywialniejsze i uszlachetnia cały wizerunek, a na sytuacje mniej idealnej natury rzuca delikatną artystyczną zasłonę.

W dwóch tych utworach, o których dopiero mówiliśmy, kipi war uniesień młodzieńczych, występuje pełnia życia zdrowego, odzywa się silnym głosem szczerzy zachwyty dla kobiety. Poeta mówi jej otwarcie, że go jej wdzięki porywają, że pragnie ukochać ją miłością szczerą, pełną zachwytyłów ziemskich i niebiańskich. Nie wytwarza sztucznymi efektami niezdrowej, fałszywej atmosfery uczuć, nie okłamuje kobiety przez idealizowanie uniesień, które pelzając w ciemni, przybierają szaty anielskie, aby swą właściwą postać ukryć, aby nieszczerem, pseudo-idealnym rozmarzeniem oszukać. Uczucia poety-kochanka nie boją się światła prawdy, bo same są — prawdą. Czyż nie szlachetniejszym jest szczerzy wyraz uwielbienia w oczach młodzieńca na widok piękna kobiecego, niż te ukradkowe, pozornie wstydlive, ukośne spojrzenia, które jak złodziej rzuca, skradając się do kobiety, aby zwiścić jej czujność?

„Dwie prośby śpiewaka“ to pieśń silna, namiętna, ale nierówna w artyzmie i prawdzie poetycznej. Był on „stworcą miłości,“ miał na swoje rozkazy „serca i dusze,“ pieśń jego była to „cichym snem serca, to znowu:

„Jak uragan straszliwy ze snu się podniosła
„I przebiegła po duszy, jak burza po morzu!“

Tą pieśnią chciał poeta wzruszyć serce kobiety, ale to serce było skałą. I do tej skały dusza śpiewaka jest „łańcuchem przeznaczenia na wieki przykuta,“ więc „wycierpieć musi brzemień mąk Prometeusza.“ Cierpieć jednak będzie w milczeniu. I tu więc króluje szlachetna duma mężka. Szkoda tylko, że duma ta nie dotrwała do końca, a przechodzi w ton żalostnej groźby, pełnej emfazy:

„W pacierzu zamiast prośby powszedniego chleba,
„W modlitwie zamiast modłów poniosę do nieba:
„Ażeby sęp pamięci, krwią moją zboczony,
„Na głazie twego serca zaostrzał swe szpony!“

Już raz Mickiewicz w daleko piękniejszych słowach powiedział kobiecie, że choćby wołała: „Precz z mej pamięci!“ — pamięć jej „nie usłucha,“ pamięć zawsze upominać się będzie o zmarowane życie człowieka, a postać jego „im dalej ucieka, tem grubszy kirem jej pamięć omroczy.“ Berwiński niepotrzebnie wcielił tę samą myśl w nader niesmaczny obraz.

W wierszu tym silniej, niż w innych utworach naszego poety, przemawia duch romantyzmu. Trudno pogodzić się z tą myślą, ażeby poezja miała być „stworcą miłości.“ Miłość wytryska naturalnym źródłem z głębin duchownego i cielesnego życia człowieka, poezja może ją tylko silniej odczuwać, lepiej zrozumieć, jaśniej uświadamiać. Najcudowniejsza pieśń nie stworzy tego uczucia w sercu ludzkim, jeżeli samo życie

w sercu tem go nie stworzyło; może je tylko umocnić, uświadomić. Dziecinnymi więc wydają się daremne narzekania kochającego śpiewaka, że pieśń jego nie poruszyła do miłości serca kobiety. Póki ona nie pokocha człowieka, nie pomoże pieśń poety. Nie należy nazywać ją „skałą,“ bo ona by może umiała kochać tego, ktoby jej serce ze snu nieczułości obudził. Skarga poety jest niesłuszną i śmieszną nawet, a tem śmieszniejszą, gdy przemawia wielkimi słowami, z emfazą wyniosłą. Mickiewicz powiedział nam zupełnie co innego, on skarżył się na zdradę kobiety i za nią straszyl ją dręczącą marą pamięci. Ale za cóż tu ma „sęp pamięci“ „na głazie biednego serca niewieściego zaostrzać swe szpony?“ Czy za to, że kobieta nie pokochała poety, chociaż on ją umiłował i miłości jej pragnął? To jeszcze nie racya! Nie można żądać od kobiety, aby pokochała każdego poety, któremu się spodoba, chociażby ten poeta uważał się za najpotężniejszego „stworcę miłości.“ W ogóle dla wiersza, którego treść nasuwa nam powyższe uwagi, nie podzielamy zachwyty profesora Bądzkiewicza, chociaż obfituje on w wiele pięknych zwrotów i wyrażań.

Również niesłusznie w wierszu: „Do jednej— dla wszystkich“ twierdzi Berwiński, że dla Maryli i ducha Gustawa „upadł i zmałał.“ O nie! stokroć nie! Błogosławione niech będą Laury i Maryle, które zapładniają serca poetów wielką miłością, wielką boleścią i wielką pieśnią! Błogosławioną niech będzie ich wielkość i małość, ich miłość i zdrada! Niechaj je błogosławi na drogę nieśmiertelności pieśń poety i wspomnienie potomnych! Wszak i Berwiński sam w najpiękniejszym swym utworze pod tytułem „Błogosławieństwo“ powiada kobiecie:

„Błogosławiona, która w mojej duszy,
„Wzniosłej jak wielkość—zimnej jak opoka,
„Struny drzemiących tajemnic poruszy
„I głąz na arfę zamieni proroka!“

Z niezmierną potęgą uczucia, z dumą mężką, a z uwielbieniem dla kobiety, poeta nasz rzuca jej pod stopy w pieśni słonecznej wszystkie najpodnioslejsze i najpotężniejsze moce ducha swojego:

„Ja dni jej blaskiem tysiąc słońc ozłocę,
„Gwiazd milionem rozjaśnię jej nocę,
„Tęcze stubarwnę dam jej za wezglowie,
„Pod nogi niebios mych rozściele stropy,
„Piorunom każe całować jej stopy,
„A archaniołom czuwać przy jej głowie!“

A dalej:

„Ja ją obwieję gwarem milionów
„Najczarowniejszych, harmonijnych tonów!
„Świat cały dla niej pieśniami rozczule,—
„Ziemie rozdzwięczę i niebo roznuce,—
„Śpiewem zastępów do snu ją utulę,
„Śpiewem wesela do szczęścia ocucę.“

Przepyszna harmonia tonów i barw tworzy piękne obrazy, unoszące się nad pospolitością życia w dźwiękach cudownej melodyi słowa. Jest to jedna z najpiękniejszych pieśni miłosnych w poezji naszej, nie tylko w formie, ale i w treści, która niesie kobiecie uczucie czyste, bezinteresowne, pełne czci, a zarazem pełne poczucia własnej siły i własnej godności. Poeta-kochanek daje drogiej istocie duszę swą, pełną mocy i tkliwości zarazem, pełną słonecznych promieni i drzeń piorunowych.... A nie widzi tej ukochanej w błękitach marzeń, lecz w progę własnej chaty i pragnie, aby z nim raj życia dzieliła.

Dużo dałoby się powiedzieć o stosunku poetów do płci pięknej. Słyszymy wiele narzekania z ust powołanych i niepowołanych śpiewaków na płci tej niestałość i płochość. Kto wie jednak, po czyjej stronie winy przeważają. Kto wie, czy poeci nie dają więcej zawodów i rozczarowań kobiecie, niż od niej odbierają. Nie mówiąc już o tym tłumie śpiewawczy, który, jak rój motyli przelatuje z kwiatka na kwiatek, z najpiękniejszych słodyczy wysysając—gdy nawet spojrzymy na wyżyny, ku olbrzymom ducha i pieśni, tam

nawet niejedno zranione serce kobiece na ich drodze napotkamy, niejedną potarganą nadzieję, niejedno życie złamane i krwawiące się bólem zawodu. O! wiele miała słuszności Gabryela, mówiąc, że „poeta żywą krew serca ludzkiego na płomień pieśni przetworzy, że miłość kobiety w rymy wplecie i światu ją, jako poemat, złoży w ofierze.“ Rzeczywiście, świat zyska piękny poemat, ale ta, co mu życie własną krwią serca dała—ta, co w zamian otrzymała? Kawalek szaty nieśmiertelności wieszczka-kochanka zbolalała pierś jej po śmierci otuli.

Rzadko poezja dać jej umie szczere słowo uwielbienia i zachwytu, jak to uczynił Berwiński w swoim „Błogosławieństwie.“ Jakżeż często po rozkosznych śnie pieśni w duszy jej następuje straszne obudzenie życia rzeczywistego. Poeta pragnie od kobiety miłości i szczęścia, a czyż sam potrafi dać jej w zamian szczęście prawdziwe, czy umie nawet ukochać ją szczerze sercem, a nie wyobraźnią? Czy potrafi usłać jej życie kwieciami, tak jak to w pieśni obiecuje? Zdarza się to tylko wtedy, gdy po za poetą stoi dobry, szlachetny człowiek. Ale, niestety, natchnienie pieśni nie zawsze z czystych serc wypływa. Zdarza się, jak to niegdyś pięknie jeden z wielkich poetów wypowiedział, iż syn pieśni, gdy go anioł natchnienia opuści, staje się najędzniejszym z najędzniejszych diatwy tego świata. Cóż więc dziwnego, że często kobieta rozumna szuka prawdziwej poezji życia w tych duszach męskich, w których poezja nie słowem, ale rzeczywistą treścią ducha przemawia, poetom zaś udziela schronienia nie w sercu swoim, lecz w bibliotece.

(Dokończenie nastąpi).

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-eh częściach

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg)

We dworze bobrowickim było cicho i spokojnie. Chorąży wyjechał do Sandomierza i dopiero nazajutrz wieczorem go się spodziewano. Sługi zeszły się wszystkie w izbie czeladnej a w komnatach pozostały tylko Magdzia z Ewą. Lecz wkrótce Ewa odeszła do swego pokoju i Magdzia sama została w pustej sali, w której tylko rozlegał się jednostajny chód zegara. Na dworze słychać było szum wichru i plusk drobnego deszczu, bijącego o szyby; tutaj zaś lampa oświetlała środek sali, zostawiając kąty w ciemności, — i powoli coraz smutniejsze myśli zaczęły ogarniać Magdzię; opuściła główkę na piersi i siedziała zamyślona i poważna, wbrew swemu zwyczajowi. Tak była pogrążona w zadumie, że prawie nie wiedziała nawet, co się dookoła niej dzieje. — nie słyszała ani jak psy zaszczeły na podwórzu, ani głosu Marcina, który z kimś po cichu rozmawiał na ganku, ani drzwi, które otwierały się w sieniach.

Czując wreszcie coraz większy ciężar, przytłaczający jej duszę, westchnęła smutnie; za sobą usłyszała szmer i jakieś drugie westchnienie jej odpowiedziało. Zerwała się przelękną, pytając: „Kto tu?“

Więcej sercem niż okiem odgadła i poskoczyła ku drzwiom, wołając: „Janek!“

— Poznałaś mnie? — rzekł pan Jan ściskając jej rękę. — A ja myślałem, że mię już wszyscy wyrzekli się i zapomnieli...

— Zkądże ci mogło przyjść coś podobnego do głowy! — zawołała Magdzia.

— Może ztąd, że mię kruczek nie poznał i rzucił się na mnie zajadle, jak na obcego, — wtedy pomyślałem sobie, że powoli dla wszystkich tak samo stanę się obcym, — odrzekł pan Jan z mimowolnym smutkiem w głosie. — Ale nie myśl, że przyszedłem tu biadać nad własnym losem, — dodał żywiej, podnosząc głowę jakby chciał otrząsnąć owe smutne myśli, — chciałem tylko jeszcze zobaczyć się z tobą i pożegnać ściany tego domu, — a potem; — dalej w świat, — niema już dla mnie nic tutaj! Tak, nie skarzę się; sam sobie los ten zgotowałem i zniosę też wszystko, cokolwiek mię ma spotkać teraz; byłbym niktym niedołęgą, gdybym płakał teraz i ubolewał po niewczasie. O pamięć także nie proszę nikogo, — po co? Pójdę i nie wiem kiedy wrócę, — lepiej niech mię zapomną wszyscy... wszyscy!... Stryj po swojemu dobrze uczynił, że był tak surowym, — może ojciec rodzony byłby pobłażliwszym, ale sprawiedliwość była po jego stronie. Widzisz więc, że odchodzę, nie mając do nikogo żalu.

— Janku, janku, janku, żebyś miał żal choćby do mnie nawet, niżbyś miał mówić tak dziwnie! — odparła Magdzia. — Serce mi się ściska, gdy cię słucham...

— Janku, janku, janku, żebyś miał żal, moja serdeczna siostrzyczko? — rzekł pan Jan z uczuciem. — Chyba bym był niegodziwcem! Jest to wielką pociechą pomyśleć sobie, że istnieje na świecie jedno choć serce, które się nie odwróci, choćby się wszyscy odwrócili! Gdybyś ty wiedziała, jak pragnąłem, jadąc tutaj, usłyszeć jakie dobre, serdeczne słowo na drogę. Nie płacz, a podaj mi rękę, tak jak wtedy, gdyśmy się żegnali rok temu, przez okno, pamiętasz?... Wiem, że ty przynajmniej mnie nie zapomnisz... — A chcąc ją rozweselić, dodał z uśmiechem: — Może gdy powrócę za lat kilka z dalekich krajów, nie zastanę dawnej Magdzi, tylko poważną niewiastę, — ale myślę, że dla mnie serca nie odmienisz. No, uspokój się, siostrzyczko, po co darmo oplakiwać to, na co rady niema? Lepiej uśmiechnij się po dawnemu, bo każda łza twoja na serce mi spada... Wiem, że gdzieindziej spotkam chłód a może i wzgardę, — tylko ty jedna zrozumiesz i przebaczysz...

Gdy tak mówił, przybliżył się do światła i Magdzia nagle wlepiła w niego oko przerażone i zawołała:

— Co to! krew! jesteś raniony!

— Nic, nic, — to drobnostka, kula otarła mi się o skroń, — odrzekł obojętnie. — Zostaw, Magdzu, nie warto o tem myśleć, — dodał, gdy chciała mu opatrzyć czoło. — Usiądź lepiej tu i opowiedz mi...

— Ale ty mi opowiedz pierwej, — przerwała — Jaka to kula? Kto na ciebie napadał i zkąd się tu wzięła teraz? Wszak byłeś uwięziony w zamku krasnostawskim?

— Bardzo to długa historia, — odrzekł pan Jan jakby znużonym głosem — i wsparł głowę na rękę, zbierając rozpierzchłe myśli. — Naprawdę, zdaje mi się, że już nie wiem ile upłynęło czasu, od chwili, gdy z zamku się wyostałem...

To rzekłszy, zaczął opowiadać w krótkich słowach wszystko, co go spotkało w ostatnich czasach, zaczawszy od dnia, jak się rozstali. Jeszcze nim zaczął swą opowieść, Magdzia, spojrzawszy mu w twarz, dostrzegła na niej ślady wielkiego zmęczenia i jakby zniechęcenia; oczy tylko zapadłe, świeciły chwilami jakimś gorączkowym blaskiem, pochodzącym ze sztucznego podniecenia, w jakim się znajdował.

Gdy zaczął opowiadać o ucieczce, wzrok Magdzi wyraził niepokój i przerażenie.

— Ach, cożes ty zrobił! — wyrwało się jej z ust. — Teraz to już nie wiem naprawdę, czy ojciec da się przebłagać kiedy. Pomyśl tylko, co powie, gdy usłyszy żeś chciał Maksymilianowi dopomódz do ucieczki z więzienia! O, Boże, Boże co ja teraz z nim pocznę nieszczęśliwa, — już i tak nie pozwala wspominać o tobie nikomu w jego obecności!

I Magdzia załamała ręce. Pan Jan siedział z opuszczoną głową i twarzą posępną — nic nie mówił, bo sam czuł słuszność tych wyrzutów.

— O, Janku, Janku, — zawołała Magdzia płaczem, — dlaczegoś to zrobił i tak nas ciężko zasnuł? Czy ci ten twój Maksymilian miłszy od rodziny?

— Magdzu, gniewaj się na mnie, łaj, bom na to zasłużył, tylko nie płacz już tak, — odrzekł ze skruczą w głosie, biorąc ją za rękę. — Czy myślisz, że ja sam mało sobie czynilem wyrzutów później? Ot, opętało mię coś, by do owej sprawy ręki przyłożyć, bo już nie mogłem znieść dłużej tego cichego, więziennego życia a innego nie było sposobu do odzyskania swobody. Zrezygnowałem się już uspokoił, że sam Zygmunt zgadza się już Maksymilianowi korony ustąpić. Bóg wie, czy to prawda, ale wtedy było tego dość dla mnie, aby się oddać na ich usługi z duszą i ciałem. Cóż pocznę, zem niestworzony do spokojnego, bezczynnego życia i gdyby mi przyszło tak dłużej siedzieć, tobym chyba sobie głowę o mur rozbił! Nieraz myślę, że to po ojcu już taką wzięłem naturę i przeznaczonem mi jest dać głowę w jakiej zawierusze, bo mię coś nieustannie pcha w świat, by szukać tam czegoś nowego, nieznanego — ot, sam nie wiem dlaczego i po co... Nie moja wina, zem się urodziłem już taki... To też nie gniewaj się na mnie choć ty, moja Magdzu, bo i bez tego wszyscy mię potępili i odrzucili, i smutno mi by było odejść ztąd bez jednego dobrego słowa na pożegnanie...

— Ale ja nie chcę, byś szedł tam gdzieś tułać się po obczyźnie, — słyszysz Janku, — nie chcę! — zawołała Magdzia z wybuchem.

— Moja Magdzu, na to niema rady; nie mogę tu zostać; wiesz przecie jaki wyrok na tych, którzy walczyli przeciwko królowi, w uniwersale styczniowym ogłoszono? Zresztą jestem ścigany tutaj i każdy może mię ująć, jako banitę. Myślę, że i stryj będzie rad chyba, gdy mu z oczu zejde, — łatwiej mu przyjdzie zapomnieć. Ale ty Magdzu wspomnij czasem, że masz brata, który wszystką krew swoją radby oddać, by cię widzieć szczęśliwą! Inni... wiem, że o mnie prędko zapomną...

— A więc jeśli musisz iść koniecznie, — rzekła Magdzia jakoś uroczyście, — to pójdzże się pożegnać jeszcze z kimś.

To mówiąc wstała i wzięwszy go za rękę, powiodła do komnaty chorążego.

Pan Jan dał się prowadzić posłusznie, przejęty uroczyście wyrazem, widzianym w oczach siostry. Nagle znalazł się naprzeciw portretu chorążyni. Z ciemnych ram patrzyła nań twarz anielska tej, którą zwał matką, której obraz niezapomniany dotąd chował w sercu święcie. I teraz też, ujrawszy go w łagodnym oświetleniu lampy, które zdawało się nadawać życie tym oczom, przenikającym go do głębi, padł na kolana u łóżka chorążego, bo mu się zdało, że ona sama zeszła z nieba i patrzy nań z żalem i wyrzutem.

— Przebacz matko! — zawołał w głębi duszy, i oparł czoło o krawędź łóżka chorążego, czując jak lzy gorące strumieniem popłynęły mu z oczów.

Zmęczony temi kilkoma dniami tułactwa i pasowania się z sobą, wpadł nagle w jakies odrętwienie, wśród którego doznał jakby snu na jawie. Wszystko, co go otaczało, znikło mu z pamięci; zapomniał o zerwaniu z rodziną, zapomniał o dniach burzliwych, przebytych w obozie Maksymiliana, — ujrzał się znów dzieckiem, chłopcem małym, co gdy przewinił, natychmiast biegł do kolan przybranej matki i ukląkszy, ze schyloną głową czekał, aż mu przebaczy. A wówczas ona, spojrzawszy mu w pierw w oczy łagodnie i poważnie, kładła mu rękę na głowie, na znak przebaczenia. Wspomnienia te tak żywo stanęły mu przed okiem, że doznał złudzenia, jakby rzeczywiście jej ręka spoczęła teraz z błogosławieństwem na jego głowie. Drgnął i obejrzał się: nad nim stała Magdzia, ale twarz jej oświetlona lampą, którą w rękę trzymała, tak wydała mu się podobną w tej chwili do oblicza matki, że wziął je obie w tej chwili za jedno

i całą cześć i poważanie, jakie miał dla matki, przeniósł teraz na siostrę.

— Magdziu, moja droga Magdziu, moja siostrzyczko droga, — mówił, przyciskając do ust jej rękę, — nigdy, nigdy cię nie zapomnę! Przed tym obrazem matki naszej przysięgam w duchu, a teraz tobie znów przysięgam, że moje czyny będą inne niż dotąd, i że potrafię niemi okupić dawne błędy, — a jeżeli będę mógł znów kiedyś powrócić w progi domowe, to już nikt nie odwróci się ode mnie ze wzgardą. Nie mów teraz stryjowi o mnie, — dodał po chwili, powstając, — usłyszysz o mnie gdy warto będzie, — teraz lepiej niech nic nie wie, że tu byłem.

— Dobrze, Janku, — odrzekła Magdzia ściskając mu rękę, a uroczysty, surowy niemal wyraz z jakim słuchała jego przysięgi, ustąpił miejsca jakiejś rzewnej powadze. — Wiedziałam, że do tego przyjdzie; nie odstąpiłam cię nigdy pomimo wszystko, bom w ciebie wierzyła. A teraz odejdę na chwilę i zaraz tu do ciebie powrócę.

To rzekłszy Magdzia postawiła lampę na stole i wybiegła przeciwnymi drzwiami, zostawiając brata samego.

Pozostał tak czas jakiś, wsparty o stół i głębokoboko zatopiony w myślach, gdy drzwi wreszcie otwarły się cicho, dając przejście Ewie w towarzystwie Magdzi.

To jej zjawienie się tutaj, niespodziewane dla niego, (bo sądził, że jest w Krakowie) było czemś tak nadzwyczajnym, że w pierwszej chwili wziął je za jakies widzenie tylko i ze wzruszenia kroku nie mógł postąpić.

Ewa zatrzymała się także wśród komnaty. W półświecie lampy, blada i w białej sukience, wyglądała rzeczywiście jak zjawisko, kiedy szła ku niemu cichym krokiem, prawie bez szmeru. Nie śmiał podejść ku niej, nie śmiał powitać, jakby się obawiał, by nie znikła.

— Nie spodziewaliśmy się, że waćpana dziś ujrzymy, — rzekła Ewa z cicha, podając mu drżącą rękę.

— I ja także nie sądziłem, że waćpannę zastanę tutaj, — odrzekł głuchym głosem, nieśmiało biorąc jej dłoń.

— Magdzia mi wszystko powiedziała, — ozwała się Ewa, podnosząc wzrok na niego — i dlatego przyszłam, by z mojej strony także życzyć waćpanu powodzenia w nowych zamiarach... i szczęścia...

— Szczęścia? — powtórzył wzruszony. — Czyż waćpanna tego nie pojmujesz, że całe moje szczęście zostawiam za sobą?...

— Więc wytrwania, — rzekła Ewa spuszczać oczy.

— Wdzięczny jestem waćpannie za to życzenie, będzie ono mi pociechą w niedoli. Bo o pamięć nie śmie prosić banita, nędzny zbieg ścigany, który nie wie nawet gdzie się oprze...

— A waćpan czy także nie rozumiesz tego, — zawołała Ewa z nagłym porywem i mocą, — że mogłabym — i chciałam zapomnieć tego, co z bronią w rękę występował przeciwko własnym rodakom i królowi, ale że nieszczęśliwy, żałujący ma w moich oczach prawo do pamięci i współczucia.

Dziwna zmiana zaszła w jej sercu od chwili gdy go ujrzała tutaj, tak różnym od owego świetnego rycerza, który pociągnął jej oczy w czasie tej pamiętnej podróży. Dziś stał oto przed nią jako zbieg prześladowany i ścigany, okryty chłopską sukmaną, wybladły, — wygnany nie tylko z domu stryja, ale nawet z kraju rodzinnego; — i ten widok wzruszył jej serce. Kto wie, — gdyby po zawodzie jakiego doznała, ujrzała go teraz w dawnym położeniu, nieprześladowanego przez los, byłaby go odepchnęła swoim chłodem i starałaby się ukryć jak najgłębiej wszelkie ślady uczucia, — lecz teraz współczucie wzięło górę nad innymi względami.

— Panno Ewo, za te słowa chętniebym życie oddał! — zawołał pan Jan z uniesieniem. — Więc waćpanna mi wierzysz teraz? — dodał drżącym głosem.

— Wierzę, — rzekła Ewa poważnie, — wierzę, że waćpan teraz nie zawiedziesz ufności położonej w tobie, — bo inaczej czyżbym była teraz tutaj? Tak, jestem pewna, że odtąd odznaczysz

się waćpan tylko w usługach kraju, walcząc w jego obronie, a nie w obcych szeregach, przeciwko niemu. I jeśli nie stracę tej wiary, — dodała patrząc mu prosto w oczy, a dziewczęca jej piękność przyodziła się w tej chwili w królewski majestat i potęgę, — jeżeli nie utracę tej wiary, to bądź waszmość pewny, że potrafię ocenić jego wytrwałność i poświęcenie.

To mówiąc, zdjęła z szyi mały, złoty krzyżyk i podając mu go, rzekła ze wzruszeniem:

— Niech ten znak zbawienia chroni waćpana we wszelkich złych przygodach — i bądź pewien, że modlitwy nasze będą mu towarzyszyć wszędzie...

Pan Jan przykląkł, aby wziąć ten dar z jej rąk i wyrzekł z zapalem i wzruszeniem:

— Przysięgam, że nie zawiodę wiary we mnie położonej, i albo zginę, albo życiem mojem zmażę błędy dawne. Jeżeli zaś złamię tę przysięgę, to niech będę uważany za ostatniego zdrajcę i nizekzemnika!

Niedługo potem pan Jan znów jechał tą samą drogą, którą przybył. Ciemności tak samo jak pierwej otaczały go dokoła, wiatr uganiał się po polach, świszcząc, ale on nie spostrzegł tego, pełen nadziei na przyszłość, pełen siły i wytrwania. Zapomniał zupełnie o swoim terazniejszym położeniu, wierzył, że zwalczy przeszkody i znów będzie godnym uznania w oczach stryja i wszystkich. Na drodze, leżącej przed nim, widział zdala promyczek, który mu świecił jak gwiazda, a był to blask bijący od okien w starym domu rodzinnym.

I nie tylko nie obawiał się trudów, które go czekały, ale owszem, pragnął ich, z podniesionem czołem jechał na ich spotkanie, śmiałym wzrokiem przebijając otaczające ciemności.

A tam w dali, wśród ścian dworu, czerniejącego niewyraźnie, modlono się o jego bezpieczeństwo i powrót szczęśliwy...

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, dnia 23 Lipca.

Po tradycyjnym dniu „Wielkiej wygranej“ i po modnym obecnie a dobiegającym końca jarmarku w Neuill'y, Paryż stopniowo się wyludnia ze stałych swych mieszkańców. Powyższe zastrzeżenie było koniecznym, gdyż na oko nie się w wielkim grodzie nie zmieniło, a przepływające fale cudzoziemców i prowincjonalistów zapełniają jak zawsze gwarem i ruchem, niezmiernie okiem pola elizejskie, aleje, bulwary i ulice.

Jednak dla oka spostrzegacza znającego miasto, jego fizjonomia zmienia się w każdym sezonie.

Obecne dżdżyste, kapryśne lato, trochę popsuło szyki wykwiśniętemu światu. Sezon kąpielowy jakkolwiek liczny, mniej jest ożywiony, bo wycieczki i spaceru choćby pobliskie, z powodu złej pogody zwykle się nie udają. Za to wieczorne reuniony, teatr i koncerty, mają olbrzymie powodzenie i tu się życie kąpielowe koncentruje.

W ogóle kąpiele morskie, różne bady, zamki, pobliskie Paryżowi podmiejskie willegiatyry zabierały pół Paryża, tak, że już uroczystość Bożego Ciała, odbyła się tylko pośród tłumu mieszczan i biednej dziatwy szkolnej uwięzionej do połowy Lipca w gorących murach miasta. Tego roku na uroczystość Bożego Ciała niespodziewanie znalazłem się w starożytnym mieście Chartres, w jego wspaniałej katedrze, o nieźrównanie pięknych ozdobach architektonicznych i artystycznych starych kolorowych szybach.

Prowincye Francji zachowały dawne tradycje i piękny obchód Bożego Ciała w Chartres przy-

pomniał mi nasze polskie procesye, z dziewczętami w bieli rzucającymi kwiaty, z tłumem ludu i jękiem dzwonów bijących z wież wszystkich kościołów w mieście.

Oprócz wspaniałej katedry posiada Chartres, bardzo bogate i stare muzeum, zapełnione nadzwyczajnie cennymi zabytkami średniowiecznej sztuki. Pomiedzy innymi, sam tylko puhar Karola Wielkiego, ze szkła arbskiego emalowanego z IX-go wieku jest drogocenną perłą dawnych pamiątek.

Lecz wróćmy do Paryża. Sprawa Zoli zajmuję stale umysły Paryżan, i nie dziw. Wyjazd sławnego romansopisarza podlega najrozmaitszym komentarzom. Tymczasem rzecz jest taka, iż Zola wyjechał uchylając się od wręczenia wyroku skazującego głośnego pisarza na rok więzienia. I źle zrobił. Prawda, że w ten sposób uniknął kozy, bo jeżeli osobiście nie doręczą skazanemu wyroku, to według procedury francuskiej, pozostaje temu ostatniemu pięć lat do założenia opozycyi, czyli akurat tyle czasu upływa ile potrzeba aby nastąpiło przedawnienie.

Czy jednakże Zola dobrze wyjdzie na tym figlu to się okaże. Z placu boju nie wolno uciekać żołnierzowi, Zola jako apostoł i surowy sędzia sprawiedliwości, powinien dla chwały swej sprawy ponieść męczeństwo jednorocznej niewoli. Nie dosyć jest krzyżować, trzeba umieć cierpieć dla idei, szczególnie jeżeli ją chcemy wszczepić w drugich. Ten jeden a niezawodny sposób jest aby zdobyć sympatyę tłumów, opanować serca. Już dziś dzienniki wołają, że Zola chybił sprawę i zaczynają się nad nim pastwić.

Chcieć poprawiać błędy, i wskazywać obowiązki ludzkości a jednocześnie obawiać się zamknięcia nie wypada.

Któregoś dnia idąc z Neuill'y bulwarem ku Porte Maillot, przyglądałem się z ciekawością zmianie jakiej uległa ta część miasta przez okres lat dziesięciu. W tym czasie były to prawie puste rozległe place, gdziegdzie licho zabudowane, włóczęgom dobrze znane. Miejsca te ze strachem się przebywało za dnia, zaś w nocy niktby się nie odważył iść tamtędy. Dziś co za różnica! Na lewo i na prawo eleganckie domki lub wysokie kamienice, kawiarnie lub sale koncertowe. Metamorfozę kompletną spowodowali cyklisci, obrawszy dla siebie tę część miasta. Welodromy, składy, fabryki rowerów powstały tutaj w wielkiej liczbie, a pobliskie kawiarnie stały się miejscem wspólnych zebrań paryskich kołowców i automobilistów.

Tak jest, ci ostatni nawet jako bohaterowie dnia, grają tu pierwszorzędną rolę, a automobile być może, iż z czasem wyrugują rowery. Jednakże nie prędko to nastąpi. Specjaliści, od samochodów „palacze“ utrzymują, że ostatni wyraz tryumfu jest jeszcze daleki. Motory robią jeszcze ciągle grymasy a ztąd są różne w drodze niespodzianki. Przytem koszt i utrzymanie w porządku takiego wehikułu, wymaga pieniędzy i uzdolnionego mechanika, a jak dotąd nie każdy jest wykwalifikowanym w tej gałęzi.

Zresztą w porównaniu z innymi miastami, Paryż pozostał w tyle co do automobilów. Do najeżdżenia niema jeszcze puszczonego ani jednego, z prywatnych automobilów chodzi już wiele, że zaś jeżdżą szybko a nieuważnie, niema więc dnia, aby się bez przypadku obeszło. Parę dni temu pewien dziennikarz, spacerując z żoną, cudem uniknął śmierci, przez roztratowanie automobilem. Nazajutrz wypadek obiegł dzienniki, a uszkodzony napisał list do prefekta policyi, zapowiadając, że jeżeli pan prefekt nie zaradzi złemu, on pierwszy do samoobrony użyje bodaj rewolwerowej kuli.

Taka zapowiedź poskutkowała; już w kilka dni potem wydano rozkaz unormowania szybkości jazdy, rozdano numery, a nawet mają podobno stróżom bezpieczeństwa publicznego wręczyć zieloną chorągiewkę, za podniesieniem której wehikuły mają stawać.

Bardzo pięknie, lecz biednym policyantom przybywa jeden kłopot więcej.

Jak nateraz, mają już białą laseczkę do zatrzymywania powozów, toporek od wściekłych

psów, rewolwer od rozbójników, no i w dodatku zieloną chorągiewkę od automobilów. Dla skompletowania tej wcale oryginalnej całości, brakuje im tylko trąbki, świstawki, dzwonka, tuby, larni, tarczy i petardy.

Połowa teatrów pozamykana, więc jako w sezonie nieteatralnym, niema nic godnego do zanotowania. Przedstawienia opery zawsze są zapelnione przejezdnyimi, Varietés i kilka innych teatrów ściągają ciekawych, lecz tłumów trzeba szukać w mniej klasycznych przybytkach. Zresztą dyrektorowie teatrów w tej chwili zajęci są przeważnie myślą przyszłego sezonu zimowego i wyszukiwaniem nadzwyczajnych sztuk dla przyszłej wielkiej wystawy.

Konserwatorium kończy egzamina wszystkich klas. Dużo wypracowanych, dużo zdolnych, talencików, wiele nawet talentów rok ten przysporzył, lecz gwiazda nie weszła żadna na horyzont sztuki.

Z dzieł literackich ostatniej doby załączam mały przegląd, mogący służyć jako wskazówka przy wyborze najnowszych dzieł literatury francuskiej.

Pod tytułem „Wielcy i mali“, Brada, autor „Cienia“ wydał dwadzieścia niewielkich, udanych nowelek, a raczej obrazków z życia rodzinnego, pełnych czulej prostoty. Świat maluczkich, ich rodzin i smutki przeważnie wypełniają obrazki, które mogą się znaleźć w rękach każdej z matek.

Adolfa Aderera siedm nowelek, zatytułowanych „Le voeu“, a prześlicznym językiem napisanych, przypominają po mistrzowsku skreślone anegdotki Mérimégo, znakomitego autora, zapomnianego przez dzisiejsze pokolenie.

Les Liens factices, romans Henryka Fèvre'a, jest ostrą satyrą sztucznych związków, połączonych jedynie materyalnym interesem.

„Ewangelia szczęścia“ A. Charpentier'a jest poważnym i obszernym studium o miłości małżeńskiej. Autor poruszył temat nader trudny, starając się dowieść, jako każdy człowiek w życiu, szukając starannie jak największej sumy szczęścia, spełnia tem samem swój obowiązek. Do zdobycia tego szczęścia jest jednak wiele przeszkód, a największą z nich to tegoczesne małżeństwo, oparte na kłamstwie i zdradzie. Na tle takich twierdzeń rozwija autor w filozoficzno-społecznym obrazie, dzieje małżonków, którzy przestali się już kochać wzajemnie. Zaiste okropny obraz. Książka napisana ze szczerością, przekonana, pięknym i czystym językiem, czyta się z zajęciem, chociaż w tym przedmiocie nie nam nowego autor nie powiedział. W każdym razie, jako dzieło sensacyjne, „Ewangelia szczęścia“ doznała powodzenia i świat kobiecy niezmiernie zainteresował, tem bardziej, iż autor pracę swoją poświęcił papieżowi.

Wzniosłem, chrześcijańskiego ducha dziełem jest ostatnia praca Franciszka Coppée'go, zatytułowana „La bonne souffrance.“ Biedny wielki poeta, złożony od dłuższego czasu ciężką niemocą, z rezygnacją znosi cierpienia, czerpiąc utuchę w głębokiej wierze. Słowa Ewangelii utrzymują wielkiego poetę na duchu, a nawet cierpienie słodkimi czynią, co właśnie w dziele swoim wyraża. Objaw taki wywołać jedynie może gorąca wiara, i dzieło to wywiera wielkie wrażenie, podnoszące ducha ku dobremu. „La charme de l'amour“, romans Daniela Riche, został nagrodzony na konkursie akademii francuskiej.

Piotr de Louys napisał świeżo romans na tle obyczajów Hiszpanii pod tytułem: „La femme et le Pantin.“

„Dziennik kobiety“, spisany przez panią Daudet, żonę Alfonsa, wielkiego romansopisarza, jest zbiorem ciekawym wypadków i wrażeń z doby ostatniej. Pani Daudet posiada znakomity dar spostrzegawczy i doskonale pióro, książka czyta się z zajęciem, chociaż dodać należy, że trzeba znać życie Paryża, aby ocenić chęci autorki i samemu odnieść z tego korzyść.

Zajmującą i pouczającą książką jest studium Emila Faguet, zatytułowane: „Politycy i moralisci XIX wieku.“ A tymi są: Saint-Simon, Lamennais, Fourier, Ballanche, Edgar Quinet, Wiktor Cousin, August Comte.

„Pointes sèches“ studium krytyczne, starannie zebrane i doskonale opracowane przez znanego tutaj krytyka Adolfa Brisson'a, warte jest uważnego przeczytania, kto chce poznać tutejszy świat literacki. Oprócz krytyki dzieł, dał nam autor doskonale scharakteryzowane sylwetki różnych autorów, romansopisarzy, poetów, dziennikarzy i krytyków. Słowem, są to portrety charakterystyczne, zebrane na bujnej literackiej niwie, a napisane z rzeczywistym talentem i dziennikarską swadą, do czego rzeczywiście doskonale się nadaje pióro wytrawne Brissona.

Z poezyi zaznaczam „Oeuvres“ de Jean Arthur Rimbaud (wiersze i proza). Tom poezyj Edwarda Noël, „Les Petits vers d'un joueur de flûte“, mają za cel służyć do podłożenia pod muzykę.

Oto zdobycz najświeższa z literatury ostatniej chwili, z którą warto się zapoznać i o której należało poinformować naszych łaskawych czytelników.

C. H.

POCIESZENIA.

OPOWIADANIE

przez

Aleksandrę Łapińską.

(Dalszy ciąg).

Droga była prześliczna, szeroka, po obu jej stronach drzewa, dalej chałupy wiejskie i łąny nieprzejrzone.

Julcia rozglądała się w około, jakby witając, oczy jej błyszczały i uśmiechała się. Popatrzyłem na nią i, dziwna rzecz, już nie żalowałem, że nie była ładną, bo choć rysów klasycznych nie miała, choć jej cera nie zbliżała się wcale do alabastrowej białości, ale za to coś tak ogromnie pociągającego było w jej twarzy, taki wdzięk miała w ustach, a w oczach tyle wyrazu, że mimowoli brała ochota czytać z jej rysów myśli i uczucia jej duszy.

— Ona się teraz z czegoś cieszy, ale jest i wzruszona—mówiłem sobie, nie spuszczać z niej wzroku—i tak wygląda, jakby po długiej niebytności wracała i sama nie wiedziała, na co pierwszej spojrzeć.

— Antek! — zawołała właśnie w tej chwili, — a cóż tam w domu, pani zdrowa, dzieci?

Antek zwrócił się pół twarzą ku nam i odpowiedział:

— A, dziękować Bogu, zdrowi, panienusiu, wszyscy!

— A panicz, panienka podrosli, co?

— Oho, panicz tak śmignął lato!

— Doprawdy?—ucieszyła się;—a panienka dawno z pensyi?

— A już drugie niedziele je!

Zadziwiły mi te pytania.

— Toś ty dawno w domu nie była? — zwróciłem się ku niej.

— Rok—odparła.

— A? A gdzieżeś była?

— W Montpellier.

— A ty tam po co?—zdumiałem.

— Chodzę na medycynę.

Teraz już nawet wysłowić nie mogłem zadziwienia mojego, ale widocznie świadczyła o niem twarz moja, bo Julcia nagle śmiać się zaczęła i rzekła:

— Tak, tak, na prawdę, chodzę na medycynę. Po wakacjach jadę już do Paryża na czwarty kurs.

— Ależ tobie to na co?—zawołałem.

Ona śmiać się przestała, spojrzała na mnie i odpowiedziała:

— Na szczęście, kuzynie.

Wzruszyłem ramionami.

— I cóż ciotka na to?

— Mama ze spokojem o przyszłości mojej myśli—odrzekła i zwróciwszy się ku mnie, bardzo jasno w oczy mi spojrzała i dodała:

— Ach, żebyś ty wiedział, jak mi teraz dobrze! Taki wyraźny dobry cel przede mną, tak sobie do niego idę...

— Ale cóż cię skłoniło do tych morderczych studyów?—przerwałem.

Zamyśliła się, chwilę patrzyła gdzieś daleko na krańce widnokregu, poczem odrzekła:

— Może to dziwnem ci się wyda, co powiem, ale mnie do tej pracy skłoniła chęć życia.

— Tłumaczysz się bardzo niejasno.

— Ja ci to kiedy, jeśli zechcesz, powiem jaśniej—i mówiąc to, położyła dłoń na moich rękach i dokończyła bardzo serdecznie: — bo ty, Lucyianie, zostaniesz przecie z nami długo, prawda?

Jej szare oczy tak jakoś prosto do duszy mi spojrzały, taka była ogromnie siostrzana wtedy, że objąłem dłonią jej rękę i do ust niosąc, rzekłem:

— Tak, tak, zostanę!

Jak ja dawno z takim uczuciem ręki kobiecej nie całowałem, chyba wtedy, gdy matka moja żyła jeszcze, Nie wiedziałem nawet, czy Julcia miała rękawiczki na rękach, czy nie;—po prostu poruszyło mi się jakoś serce na dźwięk jej głosu i na widok spojrzenia. Poczułem, że ona jest mi najbliższym człowiekiem na świecie, i że ja obchodzę ją dlatego, że jestem swój.

I ją widocznie ten mój pocałunek nie zadziwił, zrozumiała go; uściśliła mi rękę, i kończąc jakby myśl niewypowiedzianą, dodała:

— Tak, tak, przecie ty, oprócz nas, nie masz nikogo.

— A wiesz, — zacząłem — ożywiwszy się nagle, — żem ja się trochę kłopotał, czy wy mnie będziecie chcieli znać!

Zdziwiła się.

— Dlaczego?

— Bo tylem lat u was nie był.

— Ale zawsze jesteś tym samym Lusiem, którego nieboszczka ciocia do nas przywiozła i prosiła, aby go kochać. Myśmy to wszyscy pamiętali. Mama często rozmawiała o tobie ze mną, nietylko przy wysyłaniu ci pieniędzy.

Powiedziała te słowa poprostu i jakby bez zastanowienia, ale umilkła raptem. Widać, coś ją uderzyło nagłą myślą, czy może domysłem, spojrzała na mnie trochę niespokojnie, parę razy powiekami mrugnęła, chciała coś powiedzieć i znów zamilkła.

— Ona się domyśla, po co ja do nich jadę! Ona się domyśla, po co ja do nich jadę! — zacząłem sobie powtarzać w duszy, i ogarnął mnie taki wstyd, że miałem ochotę wyskoczyć z powozu.

Ale Julcia właśnie mówić zaczęła, Nadstawiłem uszu, bo głos miała teraz trochę cichszy, a mnie było jakoś niesporo jeszcze spojrzeć na nią, bałem się, żeby mi z oczów nie wyczytała potwierdzenia swego domysłu.

— Widzisz, Lucyianie, — mówiła—my bardzo pragnęliśmy zobaczyć ciebie, i bądź pewnym, że tam, w Zahorzu, wszyscy z radością cię powitają, tak jak brata, naprawdę, naprawdę.... Więcej trzeba, abyś i ty był z nami szczerzy i... mówił o wszystkim, co ciebie obchodzi, na czem ci zależy... bo pewnie... — i przez chwilę zdawała się szukać słów odpowiednich, ale prędko bardzo twarz ku mnie zwróciła, spojrzała prosto w oczy i rzekła: — bo pewnie zamiary jakieś masz na przyszłość i może zechcesz niejedno zmienić?...

Co też to za dziwne stworzenie ten człowiek! Przecież domysł Julci był trafny, a słowa jej pocziwe; odgadła, że jeśli pieniężny interes główną przyczyną mojego przyjazdu, to mi o nim mówić będzie trudno, więc chciała mi ten trud usunąć, ośmielić niejako. I ja to zrozumiałem, ale jednocześnie coś tam we mnie upokorzeniem dotknięte zostało. To też, nie zastanawiając się wcale, głowę do góry podniosłem i, patrząc prosto w jej oczy, z zuchwałym jakimś uśmiechem na ustach odrzekłem:

— Wszystkie na przyszłość zamiary i projekty moje pozostawiam własnej głowie, od rodziny chcę tylko bratniego uścisku, więcej nic.

I przez chwilę trzymałem jej oczy do zrenic swoich przykute i wzrokiem tym drwidłem z jej zbyt trafnych domysłów.

Julcia zarumieniła się lekko i twarz ode mnie odwróciwszy, popatrzyła na pole.

— Co jej tam teraz przez głowę przechodzi? — myślałem, ukradkiem na profil jej patrząc.

Chciałem koniecznie, aby znów na mnie spojrziała; nie często spotyka się u kobiety takie oczy, w którychby podobnie jak u Julci cała dusza stała.

— Ona musi być jednak ogromnie zdolna — myślałem dalej, bo tak trzy kursa medycyny skończyć, to nie zabawka.

— Julu—zagadnałem po chwili — ale tam w Montpellier, to ci chyba szalenie ciężko?

Rozjaśniła jej się twarz na to pytanie, pomyślała trochę, poczem rzekła:

— Z początku było trudno, kiedym zaczęła chodzić w Genewie na przyrodę, szesnaście godzin pracowałam na dobę, nie wiedząc nawet czy zdaję, ale jakoś Pan Bóg poszczęścił, cudem się udało. W drugim roku było jeszcze trudniej, ale wstyd tak w połowie drogi stawać. Myślałam: skończę przyrodę i wrócę do Zahorza. Przyszły egzamina ostatnie, no i na dyplomie napisano mi: avec approbation complète, a wtedy z tych trzech wyrazów tyle na mnie zapłać spłynęło, że już brnę przez medycynę do końca.

Oczy jej się rozpromieniły, w ustach miała uśmiech wielkiego zadowolenia i była z tem prawie ładna.

— Pochyliłbym przed tobą głowę w proch — powiedziałem.

Zaśmiała się.

— O kuzynie, to za nisko!

— Nie. W moich oczach najwięcej warta silna wola i wytrwałość.

— Musisz być w nie bogaty.

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

— Nie wierzę, ty, mężczyzna?

— Ja, mężczyzna, — odpowiedziałem i aże mi się zadziwił temu smutkowi, co mi w głosie zadźwięczało.

A jej śliczne oczy zatroskały się nagle, żywo jej zwróciła ku mnie i spytała:

— Może masz życie bardzo ciężkie?

— Nie, mam życie bardzo lekkie, bardzo lekkie — dodałem, czując, że mi się jakoś gorzko robi w duszy.

I tak, jak ona przedtem, tak ja teraz na dłoniach jej rękę położyłem i rzekłem:

— Ja ci to kiedy, jeśli zechcesz, powiem jaśniej.

— O tak, o tak! — zawołała żywo — powiesz jaśniej, bo tobie, Lucyane, musi być dobrze z nami.

I zaczęła mówić z ogromną serdecznością, jak to oni często w Zahorzu wspominali mnie, jak im było trochę dziwno i przykro, że tak ani listem nawet do nich się nie odezwałem; jak oni to milczenie moje różnie sobie tłumaczyli, i jak tak ubocznie, przez trzecie osoby, dochodziły ich wiadomości o mnie. Wiedzieli, że żyłem głośno i dwornie, parę razy napomykano im, że się żenię, a wtedy ciotce lży się w oczach kręciły i powtarzała: „No, to już on nigdy nas sobie nie przypomni, już ja syna mojej Luci nie zobaczę.“ Aż tu teraz taka niespodzianka! Matka córki tylko czeka, a tu ona wiezie z sobą upragnionego Lusią.

I Julcia śmiała się pocziwie i taką serdeczną uciechą, że ja pociągnięty, też cieszyć się zacząłem niespodzianką ciotki. Zdawało mi się, że ten stary człowiek, przesycony częstokroć życiem, nieraz smutny do głębi, wyszedł ze mnie; że ten nieznośny ciężar, który mi wiecznie pierśi tłoczył zsunął się nagle, i duszy mojej jakoś teraz lżej i młodziej.

— Julu! — zawołałem wtedy.

Zwróciła ku mnie swoją wdzięczną twarz, a ja, patrząc w jej spokojne oczy, zapomniałem raptem, o co miałem pytać, więc tylko uśmiechnąłem się do niej i szepnąłem:

— Moja siostrzyczka jedyna.

— A nie! — zawołała żywo, — znajdziesz jeszcze drugą w Zaborzu. Tamtej nie znasz wcale,

to moja mała Stefka, już skończyła czternaście lat, a żebyś wiedział, jaka piękna! Chce zostać artystką. Rzeczywiście ma talent i taka jakaś inna, jak wszystkie dziewczynki. Dziś już deklamuje przesłownie głosem bardzo dźwięcznym, i przytem ma ogromnie ruchliwą twarzyczkę, wszystkie uczucia odtworzyć nią zdoła. Może Bóg da, że się mojej małej poszczęści.

Zdumiałem; tam w Zaborzu, w tem cichem ustroni, w tym białym domku, w którym spodziewałem się znaleźć ludzi żyjących zdaleka od świata i jego marność; ludzi, którzy według wyobraźni mojej, taką sielskość i prostotę mieć powinni, jak natura otaczająca ich, tam, tam właśnie żyje i rośnie jakaś przyszła gwiazda teatralnego świata. Spodziewałem się znaleźć w Zaborzu Zosie karmiące ptactwo domowe, ale nie studentki i artystki.

Kiedym te wszystkie myśli moje wypowiedział Julci, wtedy ona odrzekła:

— Widzisz, Lucyane, trzeba zawsze o coś życie zaczepić, bo inaczej można zablądzić.

I twarz jej spoważniała bardzo przy tych słowach. Po chwili mówiła dalej.

— Czy tu, czy tam, zawsze życie pozostaje życiem; nostalgia za szczęściem odezwie się w duszy każdego człowieka. A jak nie można upragnionym pokarmem tej biednej duszy nasycić, to jej trzeba dać chleb inny, byle głodu nie czuć.

I zkąd ta dziewczyna wiedziała o tem, co tam na samem najgłębszem dnie mojej duszy leżało? Bo to, co ona mówiła, ja czułem od lat, ja tę nostalgię nosiłem w sercu ciągle, a na mój głód żadnego chleba nie miałem. Ale jak ci, co na chroniczne cierpią choroby i zwątpili już o istnieniu lekarstwa, tak i ja sceptycznie zacząłem się uśmiechać na dalsze słowa Julci.

— Nie śmieję się, Lucyane, — powiedziała wtedy, — bo doprawdy duszę oszukać można i to nawet bardzo łatwo.

— A pewnie, pewnie, — zadrwiłem, — zgłodniałego napoić! Znałem jedną żydówkę, która, kiedy jej się bardzo jeść chciało, to się kładła spać i mówiła, że jej czasami głód mijał.

Julcia uśmiechnęła się smutno na te słowa i rzekła:

— To co innego i tamto co innego. Ciało, to przecie najcieńsze nasze kajdany, najokrutniejszego tyran, to materya, od ziemi jej nie oderwać; ale z duszą, widzisz, inaczej się dzieje. Kiedy serce zacznie trochę za gwałtownie wicherzeć, to tylko po za nie sięgnąć, z ciasnej drogi egoizmu wprowadzić je na szeroki jaki gościniec, oho! już je niby na munsztuku poprowadzić zdołasz!

Teraz nie znalazłem odpowiedzi na słowa Julci, ale, co prawda, to i odpowiedzi nie szukałem, bo zacząłem się zastanawiać nad myślami jej. „Sięgnąć po za serce swoje.“ Zapewne, zapewne, tylko gdzie takiego bohatera szukać?

Jechaliśmy chwilę w milczeniu.

Powóz skręcił w wąską drogę, po brzegach nadwiślańskimi topolami wysadzoną.

— Stefka! Stefka! Stefka! — krzyknęła raptem Julcia i podniósłszy się, pociągnęła Antka za ramię. — Stój, stój! panienka biegnie!

I zanim jeszcze Antek zdołał konie zatrzymać, już ona wyskoczyła z powozu.

Łąką po za szpalerem topoli leciała ku drodze moja druga siostrzyczka. Czarne włosy podrzuciła przy każdym skoku i nogami jak żreback wyrzucała naprzód.

Ja pozostałem w powozie; nie chciałem przeszkadzać pierwszemu powitanu, patrzyłem tylko zdaleka, jak biegnące ku sobie siostry ramionami się spłotyły, całowały się długo, mówiły coś do siebie, śmiały się i znów ścisnęły i znowu mówiły. Wreszcie wzięły się w pól i szły ku mnie.

Wysiadłem wtedy i zbliżyłem się.

Julcia miała słuszną; jej młodsza siostra była rzeczywiście piękną. Ogromne ciemne oczy płonęły zza czarnych rzęs Stefki, rysy delikatne były regularne i tak jak u Julci pełne wyrazu. Co jednak przedewszystkiem uderzało w Stefcę, to ten jakiś zapal, którym tchnęła cała

jej przepiękna twarzyczka, to ożywienie ogromne oczów jej,

Powitała mnie bardzo serdecznie.

— To to Lucyan, — powtarzała, — to to Lucyan! — i patrzyła ciekawie. — No a ja sobie zupełnie inaczej wyobrażałam Lucyana.

— I jakże to? — pytałem, całując z wielką przyjemnością jej śliczną buzię.

— E tak zwyczajnie, — odpowiedziała, czyniąc niedbały ruch ręką.

— A Lucyan niezwyczajny? — zaśmiała się Julcia.

— A nie! — Stefka żywo zaprzeczyła i czarne jej oczy rozblęły. — Lucyan to zupełnie podobny do tej głowy Romea, co u nas w saloniku wisiał!

I raptem, jakby jej coś w myślach strzeliło, zbiegła na łąkę i prędko, prędko rwać zaczęła polne kwiaty. Tuż obok złociło się zboże na łąnie, skoczyła i tam, kłosów nabrała, czerwonych maków kilka i habrów. Potem przyleciała do nas i pod nogi nam to wszystko rzuciła.

— Romeo i Julja! — zawołała swoim ślicznym, jak melodya dźwięcznym głosem.

Zaśmieliśmy się głośno, a ja z kolei zacząłem zbierać rozrzucone na ziemi kwiaty, mówiąc:

— Muszę uwiecznić Stefcę za jej wonne dary!

— Ach nie mnie! nie mnie! — zawołała, cofając się — Romeo powinien wieńczyć Julję, bo ona mu była przecież wysłańcem niebieskim!

— Ej nie zupełnie, — zaprzeczyłem.

Zapaliło się w oczach Stefki.

— A to Lucyan nie wie, że Romeo mówi do Julii: „Ty wśród cieniów północy świecisz mi nad czołem, jak wysłańiec niebieski!“

— Brawo! brawo! — zawołałem z prawdziwym zapałem, — ze Stefci będzie artystka z woli Bożej! Eviva l'arte, śliczna siostrzyczko, eviva! Na wieńcach ci nie zbraknie!

A potem zwróciwszy się do Julci, rzekłem półgłosem:

— Masz słusność, ona piękna i talent mieć będzie i nie taka, jak wszystkie.

W oczach Julci pokazało się całe niebo radości.

— Prawda? prawda?!

Po chwili jechaliśmy dalej.

Stefka siedziała na mojem miejscu, a ja naprzeciwko obudwóch siostr, które właśnie o teatrze francuskim mówić zaczęły. Rozgorzały czarne oczy małej i rumieńce na twarzyczkę jej wypływały.

— Widziałas Sarę? co? widziałas? — pytała odychając szybko.

— Widziałam, w Tosce.

— No i co? no i co?

— No i nic — z uśmiechem na siostrę patrząc, odpowiedziała Julcia. — Trzeba, aby Stefcia tak kiedyś grała.

— Oho będę, zobaczycie, że będę! A Lucyan często chodzi do teatru? — zwróciła się do mnie.

— A chodzę, ile razy nie mam co lepszego robić z wieczorem.

— To Lucyan tu długo nie wytrzyma!

Uśmiechnąłem się i oczy podniosłem na Julcię.

— Wysłańiec niebieski nie da mi tęsknić za cieniem, — odpowiedziałem żartobliwie.

— I postara się, aby cienie nie miały już uroku dla ciebie, — odrzuciła wesoło.

Ja spojrziałem jej wtedy prosto w oczy i rzekłem:

— Trzymam cię za słowo, Julu, tylko ostrzegam, że moja dusza nie łatwo daje się oszukać, a zna dotąd jedną tylko ścieżkę — egoizm.

— Ale czy widzisz aby całą szkaradę tej ścieżki? — pytała dalej, śmiejąc się.

— Och lepiej niż ktokolwiek! — odrzuciłem.

Oczy Julci zabłysły.

— To łatwo będzie wprowadzić cię na inną.

— Dobrze, prowadź Beatrycze, — odpowiedziałem z galanterią.

Niedługo potem byliśmy już w Zahorzu.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Kobiety w Indjach.

(Dokończenie).

Dziewczątka indyjskie nie noszą ubrania do czterech lub pięciu lat; całym ich strojem jest zawieszona w pasie świecidełko na sznurku, u najmniejszych, na łańcuszku. Podczas dni upalnych można i dziesięcioletnie dziewczynki spotkać w tym „kostymie.“

Dziewczynka zostaje wydana za mąż gdy skończy lat sześć lub siedm za chłopca o rok lub dwa od siebie starszego. Mały pan młody, wystrojony w najpiękniejsze swoje szaty, z wieńcem kwiatów na turbanie, zaniesiony bywa w palankinie do domu narzeczonej. Ceremonja ślubu odbywa się zazwyczaj wieczorem, przy świetle pierwszych gwiazd. Kobzy i tam-tam poprzedzają palankin pana młodego, jeśli zaś należy do rodziny bogatej, obładowane podarunkami wielbłądy ciągną za grajkami. Na progu mieszkania powitany jest przez narzeczoną i oboje, trzymając się za ręce, udają się do wnętrza, gdzie oczekujący na nich kapłan odmawia nad nimi modlitwy. Potem następuje uczta, pan młody zostaje, a panna młoda udaje się na dni kilka do domu rodziców pana młodego. Po kilku dniach każde z nich wraca do siebie i często, jeśli miejsca ich zamieszkania są oddalone, nie widzą się, aż do czasu powtórnej ceremonji ślubu, która odbywa się wtedy, gdy mąż osiąga lat piętnastu, a żona jedenastu.

U Hindusów, prawie we wszystkich stronach kraju, przechowało się wielożeństwo. Pierwsza żona (z wyjątkiem u klas wyżej położonych), zostaje sługą następnej, ta znów kolejno ustępuje miejsca późniejszej od siebie. Spokój w życiu domowym Hindusów często bywa naruszany, kłótnie są tam na porządku dziennym i nieradko kończą się bójkami.

Kapłanki w Himalajskich okolicach różnią się od innych kobiet strojem, składającym się z szerokiej, białej draperyi, sunącej w długich fałdach po ziemi i zmiatającej całe pokłady kurzu. Na głowie noszą często kosze, napełnione drobnymi naczyniami z laki i figurkami, przedstawiającymi bożków. Przedmiotami temi prowadzą handel tak rozległy, że siadają na statki i dojeżdżają aż do Bamo w wyższej Birmie. Podczas drogi nie rozdzielają się ani na chwilę, stoją jedna przy drugiej, jak słupy białe, a jeśli się poruszają z miejsca, idą jedna za drugą, trzymając się za odzienie. Nieraz widziałem je, ożywioną wiodące rozmowę z bonzami, zwykle chodzi o pozwolenie przenocowania w jakiej świątyni, na co bonzowie nie chcą się zgodzić. Wieczorami można widzieć te białe otulone postacie, skupione na stopniach zamkniętych świątyń.

W czasie mojej podróży po Indjach, miałem sposobność zapoznać się z córką radży Palitana, którego jakiś czas byłem gościem. Przez cały czas trwania pierwszych moich odwiedzin, siedziała na kolanach ojca, nieśmiała, prawie przestraszona i milcząca. Literalnie okryta była świecidłami, pomiędzy którymi nie brakło i bardzo kosztownych. W delikatnych nozdrzach zaczezione miała kolczyki z brylantami; jej strój składał się z krótkich, atlasowych majteczek i rodzaju bluzy, całej zahaftowanej złotem; małeńkie, delikatne nóżki uwięzione były w okrytych świecidłami pantofelkach, powyżej kostki obcisnięte ciężkimi, srebrnymi obręczami. Do wyjścia, zamiast okrycia, nakładała naszyjnik

z pereł i obwieszała się kilkoma sznurami nawleczonych paciorków. Liczyła lat ośm, śpiewała i tańczyła prześlicznie, do lat jedenastu miała pozostać przy ojcu i pokazywać się ludziom z twarzą odkrytą, później przeznaceniem jej było przejść do harem radży, który zostanie jej mężem. Odtąd zniknie dla świata, nikt oprócz jej męża już jej nie zobaczy.

Bywają chwile, w których odosobnione, zamknięte w niedostępnych „zenanas“—życie kobiet indyjskich staje się straszne. Podczas epidemicznych chorób nic ich nie uwalnia od surowych przepisów i zdarza się, że wszystkie kobiety w haremie giną od zarazy.

Kobietom, należącym do dwóch najprzedniejszych kast: braminów i „kszatryas,“ do której liczą się radżowie i wyżsi wojownicy, niewolno jest zajmować się najlżejszą nawet robotą; ręce ich powinny być białe i delikatne jak jedwab.

Kobiety z kasty „vohcias,“ to jest z kasty kupców, doktorów, ludzi nauki, są o wiele szczęśliwsze. Wolno im zajmować się chociaż własnymi dziećmi i chociaż w haremach pędzą życie bezczynne, urozmaicają sobie czas, grą na guzli, śpiewem i dziecinnymi rozmaitemi zabawami.

Zupełną wolnością cieszą się jedynie kobiety pochodzące z kasty „sudras,“ to jest, służące, robotnice, zamiataczki ulic i t. p. Te, pracując na równi z mężczyznami i na równi z nimi zachowują swobodę, chodzą z odkrytymi twarzami, w czasie zaś upałów bardziej dekoltowane, aniżeli europejskie damy na balach.

Najniższą z kast stanowią Pariasy, istoty spełniające najcięższe posługi, pogardzane, skazane na nędzę i żebractwo, zawsze brudne, opuszczone, uważane za stworzenia niższe od zwierząt, przywykłe nawet do tego, że każdy, do lepszej kasty należący przechodzień pluje na nich, co u Indyan należy do dobrego tonu

Na zakończenie tych pobieżnie skreślonych obrazków, dodam jeszcze jedno ze wspomnień, jakie zachowałem z mego pobytu w Indjach.

Pewnego rana budzę się w hotelu „pod Cytrynami“ w Rawal-Pindi. Położyłem się poprzedniego wieczora po pięciu dniach podróży w „ekka“ (wózek na dwóch kołach) tak wyczerpany, że nie byłem nawet w mocy rozejrzeć się po moim pokoju. Przy obudzeniu się miałem przyjemną niespodziankę, ujrawszy europejskie sprzęty, czysto zasłane łóżko i białe franki w oknach, wszystko rzeczy mało znane w hotelach, utrzymywanych po większej części przez Parsów. Śniadanie podane na tacy przykrytej bielutką serwetą, smaczne było i zgoła do posiłków indyjskich niepodobne. Obiad tak samo, zachwylił mnie nie tylko doborem potraw, lecz i starannością przyrządzenia. Niespodzianka została wytłomaczona, gdy we właścicielu hotelu poznałem Anglika ożenionego z Polką.

W Bunoo, prawie przy samej granicy Afganistanu zdarzyło mi się napotkać drugą kobietę, która domowi swemu umiała nadać europejską wytworność i zachować cechy zachodniej kultury. W wielkich miastach indyjskich spotyka się owe cechy dosyć często, ale tu, o sto kilometrów od ostatniej stacyi kolei żelaznej, w krainie piasku i kamieni, gdzie każdy kwiatek, każda roślina jest rzadkością, stół ubrany bukietami i zastawiony ze smakiem, którego by się Paryżanka nie zawstydzila, wydawał się prawdziwie bajecznym. Żona inżyniera, u którego gościłem, była Francuzką i dzięki jej, w dzikiej stronie, gdzie przy otwartych oknach dochodziły nas zdala krzyki szakali, na miłej pogawędce i przy fortepianie, w salonie urządzonej z paryzkim szykiem, spędziłem jeden z najprzyjemniejszych wieczorów.

Kobiety przybyłe do Indji z Europy nadzwyczajnie dodatni wpływ rozsiewają w około, dosć jest zaznaczyć to, że one pierwsze dają przykład miłosierdzia dla opuszczonych nędzarzów, którym tu nikt ręki nie poda. Pariasy nawet znajdują u nich trochę odzienia, łyżkę strawy i dobre słowo jeśli przez dłuższy pobyt nauczą się porozumiewać w miejscowym języku, to też kobiety cywilizowane są tam przez biedaków czczone niemal jak bóstwa.

S.

Z bieżącej chwili.

— W bieżącym tygodniu bawił w Warszawie król rumuński, Karol I-szy i następcę tronu rumuńskiego, ks. Ferdynand. Dostojni goście zabawili w mieście dzień jeden, zwiedzili osobliwości Warszawy; na cześć Ich w Pomarańczarni odbyło się przedstawienie baletowe.

— Warszawskie towarzystwo Lekarskie zwróciło uwagę na stan wielkiego zaniedbania i zniszczenia, jakiego obraz przedstawia pomnik wzniesiony pamięci d-ra Polikarpa Girsztowta w kościele Ś-go Krzyża. Towarzystwo postanowiło zastąpić pomnik ten tablicą pamiątkową, z bronzem popiersiem. Niezwłocznie złożył się też komitet *ad hoc*, do którego weszli: prezes towarzystwa Lekarskiego d-r B. Gepner i doktorowie Peszke i Pruszyński.

— Wydział ubezpieczeń gub. Warszawskiej otrzymał listę domów, które z powodu złego stanu, oraz jako grożące niebezpieczeństwem zaważenia się, przeznaczone zostały do rozebrania. Domy te, których liczba dochodzi 16, mają być niezwłocznie wykreślone z listy asekuracyjnej.

— Rząd niemiecki zakazał zjazdu lekarzów i przyrodników polskich w Poznaniu i nie uwzględnił memoriału w tej sprawie przez komitet do ministerjum wystosowanego.

— Zwrócono uwagę na kobiety zjawiające się w mieście, w celu zabierania na wychowanie niemowląt. Codziennie kobiet takich przybywa do Warszawy spora liczba i zwykle gromadzi się w okolicy szpitala Dzieciątka Jezus, dokąd udają się woźni kantorów stręczenia mamek, lub osobniki również zajmujące się tem stręczeniem. Duchowieństwo kilkunastu parafii, za Wisłą, w których proceder wychowania, a raczej zatrącania niemowląt, jest silnie rozwinięty, energicznie zaczyna temu przeciwdziałać. Jako urzędnicy stanu cywilnego, proboszczowie używają swej władzy, by przynieszone do wsi niemowlęta były zaopatrzone w metryczki, co ułatwia dozór nad postępowaniem procederzystek, a za wpływem tegoż duchowieństwa tym kobietom, u których zdarzają się wypadki śmierci dzieci, gmina odmawia wydania świadectwa. Godne to naśladowania.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkuś 9 powieści, p. t. *Spadkobiercy*, przez autorkę „Za cudze winy.“ Przekład Z. S.

Treść: Kobieta angielska. Jej cele i dążenia. I., przez Anatola Krzyżanowskiego. — Preludjum, przez Józefa Wiśniowskiego. — Zapomniany śpiewak miłości, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg). — Bezkrólewie, powieść historyczna w 2-ch częściach, przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg). — Nowiny paryzkie, przez C. H. — Pocieszenia. Opowiadanie, przez Aleksandrę Łapińską (dalszy ciąg). — Kobiety w Indjach, przez S. (dokończenie). — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: *Spadkobiercy*, powieść, przez autorkę „Za cudze winy,“ arkuś 9-ty. Przekład Z. S. — Przegląd mód. 24 wzorów i robót. z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiady.